Po konfiskacie nakład drugi.

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



MIESIĘCZNIK

ROK I | **WARSZAWA—1928—SIERPIEŃ** | **3 NUMER**

REDAGUJE KOMITET.

Fałszerze.

Już oddawna odzwyczailiśmy się od przyjmowania „na wiarę“ cudzych słów, zarówno jak od uważania za prawdziwe wieści li tylko dlatego, że są drukowane. Wolność słowa i wolność prasy, nawet tak okrojona, jak to dziś ma miejsce w wielu państwach europejskich — to radykalny środek na wszelkiego rodzaju autorytety; dyskusje jawne, nawet zbyt gwałtowne, są bezsprzecznie lepszą metodą, niż kneblowanie ust przeciwnikowi.

Nic więc dziwnego, że w państwach, gdzie dzieje się coś, bo sprzeciwia się logice życia, co jest tylko przejawem chwilowego przemęczenia i zaniku odczuć społecznych — w państwach takich przedewszystkiem znosi się wolność słowa i wolność prasy. Wszystko jedno, jak zwać się będzie podobny ustrój — faszystowskim, dyktatorskim, bolszewickim, czy jeszcze inaczej, treść zostanie ta sama; pod przykrywką zbawienia państwa, czy zbawienia proletarjatu, czy zbawienia duszy człowieka po śmierci — ukrywa się jakiś świadomy fałsz, jakaś ciemna potęga, dążąca do swoich jednostkowych celów, bez oglądania się na krzywdę ludzką.

Środki, używane do gnębienia ludzkiego ducha, są naturalnie rozmaite, w zależności od epoki i kraju; faszyści wolą rycynowy olej, bolszewicy częstują kulą rewolwerową, a kościoły—stosem lub kamienowaniem. Ale prócz tych „namacalnych“ środków różniczkujących się w zależności od miejsca i czasu, jest jeszcze jeden środek stały. niezmienny, używany przez wszystkich gnębicieli bez wyjątku, jest to— fałsz.

Najsilniejszy nawet despota nie zdobędzie się na stały cynizm, na proste stwierdzenie swojej woli, popartej siłą fizyczną, bo czuje, że musi nadejść chwila, kiedy gnębieni poczują swoją siłę—i wtedy nastąpi smutny porachunek. Dla

utrwalenia więc swojej władzy szukają „idei“, jakiejś prawdy oderwanej, jakiegoś frazesu błyskotliwego, pod którymby się dało przemycić rzeczywistość szarą, częstokroć brudną, przeważnie okrutną i krwawą. Jak słusznie powiedział kiedyś prof. Baudouin de Courtenay, wszystkie zwierzęta zabijają dla obrony własnej, lub z głodu, jedynie człowiek zabija dla idei. Tylko, że ta „idea“ niezmiernie rzadko jest szczerem przekonaniem mordercy, przeważnie bywa fałszywą nazwą, kłamliwem słowem.

Polityka nie jest moją specjalnością, pozostawiam więc innym podawanie przykładów i dowodów fałszowania prawdy przez Napoleonów faszyzmu i Cezarów bolszewizmu. My w tej chwili zwrócimy uwagę na dyktatorów wyznaniowych i niektóre ich fałsze historyczne.

W starożytności i średniowieczu nauka i sztuka były monopolem kapłanów: oni jedni (poza nielicznymi wyjątkami) posiadali umiejętność pisania. Nic więc dziwnego, że kroniki historyczne, spisywane przez kapłanów, przedstawiają dzieje z ich punktu widzenia. Dowodem chociażby w historji Polski fałszywe przedstawienie zatargu Bolesława Śmiałego ze zdradzieckim biskupem Stanisławem, który później został kanonizowany. Niezmiernie trudno jest po kilkuset latach odtworzyć rzeczywisty przebieg jakiegoś zdarzenia. Nic więc dziwnego. że dzieje starożytne wszystkich narodów obfitują w nieopisane cuda, żywo przypominające bajki czarodziejskie. A wszystkie te cuda mają jeden cel: przekonanie ludzi, że powstanie państwa i dynastji lub przyjęcie wyznania panującego były dziełem samego Boga, a więc należy czcić kościół i króla, a każdy bunt przeciw władzy będzie buntem przeciw Bogu. Wszak to pojęcie uświęcił kościół chrześcijański stwierdzeniem: wszelka władza pochodzi od Boga.

Takimi fałszami są wszelkiego rodzaju komentarze do t. zw. pism świętych. Momenty powstawania tego rodzaju pism, lub też epoki, w których rodziły się owe nowe zjawiska życia społecznego, były zawsze połączone z jakimś przełomem, z jakąś rewolucją, lub przynajmniej z silnym fermentem myślowym. Nic dziwnego, że w podobnych chwilach zjawiały się błyskawice nowych światów, światłe rzuty indywidualnych poglądów.

Ale nie leży w interesie klas dotychczas panujących, aby podobne przejawy nowego życia utrwalały się na stałe, gdyż groziłoby to wprowadzeniem w życie nowych elementów, które mogłyby poważnie podważyć istniejący stan posiadania. Tu więc rozpoczyna się natychmiast krecia robota komentatorów, usiłujących dowieść, że burzące słowa zostały źle zrozumiane. Gdy zaś te słowa były zbyt wyraźne, aby dały się podstępnie zamaskować, zjawia się najskuteczniejsza broń—świadomy fałsz.

* * *

Stary testament nie uznaje jedynobóstwa. Mamy tam tylko jednego Boga, Jehowę, który jest silniejszym, możniejszym od wszystkich innych ówczesnych bogów- Walczy on o swoją władzę zacięcie, rzuca klątwami w zwolenników innych bogów, wynagradza stokrotnie swoich zwolenników obietnicami — zupełnie jak kandydat do sejmu przed wyborami. Ale nie leży to w interesie kleru żydowskiego, aby uznać współmierność Jehowy z innymi bogami, nawet przy całkowitej tegoż hegemonji. Toteż kościół żydowski oświadcza, wbrew wyraźnemu tekstowi biblijnemu, że Jehowa jest jedynym bogiem, wszyscy zaś inni — są bogami fałszywymi.

Gdy zaś w tekście biblji kronikarz mówi wyraźnie o składaniu jednoczesnych ofiar dwóm bogom: dobremu— Jehowie i złemu — Azazelowi (Levit. XVI 7-10), nakazanem żydom przez Mojżesza, i nie można już było wobec tego nazwać Azazela fałszywym bogiem—wtedy fanatycy biblijnego quasi-jedynobóstwa uciekają się do zwyczajnego fałszu, twierdząc, że Azazel — jest to nazwa jakiejś pustyni, na którą w niewiadomym celu(!) wypędzano kozła ofiarnego.

To „niewiadome", ta nieodgadniona tajemnica jest już ostatnią ucieczką kapłanów w braku najrozpaczliwszych nawet łamańców komentatorskich.

Ewangelja chrześcijańska dała jednak swym zwolennikom daleko twardszy orzech do zgryzenia, niż biblja, gdyż — mając być tylko dalszym ciągiem, i jakby logicznem rozwinięciem i uzupełnieniem starego testamentu, stworzyła jednak siłą rozpędu społecznego nowy świat pojęć na zupełnie obcem sobie podłożu rzymsko-giermańskiem.

Absolutna niemożliwość pogodzenia żydowskich pojęć ewangielicznych z europejskim światopoglądem musiała doprowadzić do nieskończonej ilości giętkich tłumaczeń i bezsprzecznie fałszywych zmyśleń.

Sama nazwa boga została przedewszystkiem spaczona. Wiadomo, że żydom nie wolno było wymawiać imienia boskiego; zamiat więc „Jehowa" — wymawiali „adon", co znaczy „pan", zachowując wszakże właściwą pisownię: litery — jod, hau, wow, hau, a więc — j, h, w, h, co obecnie czytamy Jehowa, lub Jahwe.

Ponieważ wymówienie imienia boga groziło śmiercią, więc i ewangieliści żydzi, którzy nie potrafili wyzbyć się tej trwogi, pisali: „Jehowa", a wymawiali „pan". Tłumacze ewangelji na język grecki i łaciński, również żydzi, prawdopodobnie trzymali się tej samej metody.

Ale nieco później imię boga Jehowy staje się dla kapłanów chrześcijańskich niewygodne. Jak tu wytłumaczyć obywatelom rzymskim, atawistycznie dumnym ze swego pochodzenia, że bóg nosi imię żydowskie? Więc też zjawia

się termin „dominus“ = „pan“ = „adon“, który w całości zastępuje zdetronizowanego Jehowę.

W ślad za tem, gdy i Jezusa nazywano również „dominus“, uciera się pojęcie, że Jehowa i Jezus, to jest jedna osoba, objęta jedną nazwą, jednem imieniem.

Ale tu się nastręcza olbrzymia trudność: w hebrajskim tekście ewangelji bóg występuje jednak pod swą właściwą pisownią: Jehowa; grozi więc niebezpieczeństwo, że ludzie, czytający ewangelję po hebrajsku i po łacinie, zaczną wątpić, czy Jehowa i Jezus — to ten sam bóg. I oto życie zmusza kościół chrześcijański do popełnienia niesłychanego fałszu: wszystkie teksty hebrajskie ewangielji nagle giną, nikną bez śladu. Zostają tylko łacińskie lub greckie, gdzie imię Jehowy w brzmieniu hebrajskiem już nie istnieje. Istnieje tylko „pan“, a tym jest Jezus Chrystus, jednocześnie bóg i człowiek.

Nie była to rzecz ładna — i, coprawda, nie udała się w zupełności. W ewangielji na każdym kroku jest powoływanie się na tekst biblijny: otóż ten tekst przecież istnieje i każdy może sprawdzić niezgodność cytaty z oryginałem, niezgodność świadomie fałszywą.

Weźmy dla przykładu charakterystyczne słowa Jezusa, podawane przez ewangielję: Jezus, zapytany jakie jest najważniejsze przykazanie, odpowiada: „Przedniejsze ze wszystkich przykazanie jest: słuchaj Izraelu, Pan Bóg twój, Bóg jeden jest“ (Mar. XII-29). W tem miejscu Jezus naturalnie cytuje biblję. Ale w biblji słowa te brzmią: „słuchaj, Izraelu, Jehowa, Bóg nasz, Jehowa jedyny“ (Deut. VI-4).

Mateusz podawał swą ewangielję bezsprzecznie po hebrajsku, gdyż zresztą innego języka nie znał, zresztą temi słowy przemawiał żyd do żydów. Niewątpliwie więc cytata była dosłowna, prawidłowa. Utrzymanie zaś w tłumaczeniu łacińskim terminu „pan“ zamiast „Jehowa“ — jest świadomem fałszowaniem tekstu, mającem na celu wyeliminowanie żydowskiego boga z kościoła i postawienie Jezusa na jego miejsce.

Niemniej ciekawe i pouczające byłoby zbadanie oryginalnego tekstu t. zw. „wyznania św. Piotra“. Na pytanie Jezusa: A wy kim mię być powiadacie? — odpowiada Piotr: Tyś jest Chrystus, Syn Boży (Jan VI-70. Mat. XVI-16). Słowa te uznaje kościół za dowód, że apostołowie poznali boskość Jezusa. W rzeczywistości jednak rzecz ma się nieco odmiennie i gdyby Piotr powiedział: Tyś jest syn Jehowy — kościół miałby słuszną podstawę do swego twierdzenia; ale wtedy w tłumaczeniu powinnoby to było brzmieć: tyś jest syn pana. Natomiast wyrażenie „syn boży“ ma swój odpowiednik w języku hebrajskim: ben haelohim, jak w wersecie biblijnym: „Przychodzili synowie boscy do cór ludzkich, a rodziły im: są to owi mocarze, którzy od wieków byli mężami sławy“ (Genes. VI-4).

Piotr więc, nadając Jezusowi tytuł syna bożego, stawia go wyżej od bohaterów i proroków, ale nie wyprowadza rodowodu jego od jedynego żydowskiego boga, Jehowy. Znów więc komentatorzy ewangielji popełniają świadomy fałsz, ułatwiony przęz „cudowne“ zagubienie oryginalnego hebrajskiego tekstu ewangielji.

Jeszcze na jedno fałszerstwo zwrócimy uwagę: podstawą religji Mojżesza, a więc i Chrystusa jest dziesięcioro przykazań. Nie są one coprawda oryginalne, gdyż prawa współżycia, zawarte w nich zostały skodyfikowane na kilka tysięcy lat przed epoką Mojżesza przez kapłanów babilońskich, niemniej wszakże uznać je musimy za kamień węgielny etyki żydowsko - chrześcijańskiej. Ale pierwsze, zasadnicze, podstawowe przykazanie brzmi w biblji: „Jam Jehowa, Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewolników“.

Naturalnie — w tem brzmieniu wojujący kośció chrześcijański nie mógł uznać pierwszego przykazania, z którego logicznie wypływało zaraz następne przykazanie drugie z kolei: „Nie będziesz miał bogów cudzych przed obliczem mojem“. Nie mógł uznać, gdyż to byłoby równoznaczne z zaprzeczeniem bóstwa Jezusa.

Cóż więc robią ojcowie kościoła? Opuszczają poprostu pierwsze przykazanie, które sam Jezus nazwał najważniejszem, i mianują drugie przykazanie pierwszem. A ponieważ w ten sposób pozostało tylko dziewięć przykazań, to dla otrzymania obowiązkowej liczby dziesięciu, przecięli ostatnie, dziesiąte według biblji, przykazanie na dwie części, zabraniając w dziewiątem pożądania domu bliźniego, a w dziesiątem—majątku jego, z żoną włącznie.

W krótkim tym szkicu nie mamy możności przytaczania całego ogromnego szeregu przekręcań, samowolnych skrótów, świadomie fałszywych komentarzy lub też zwyczajnych fałszerstw, popełnianych przez żydowskich i chrześcijańskich obrońców pism świętych. Te kilka przykładów mogą służyć tylko jako rozbiór metod, stosowanych przez ludzi, którzy przy dążeniu do władzy nie wahają się przed żadnem odstępstwem od zasad etyki, których wyrazicielami się mienią.

Ja osobiście mam to przekonanie, że w najgłębszych skrytkach Watykanu ukryte zostały przed oczyma laików dzieła uczciwych badaczy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których tekst ewangelji podawany był w brzmieniu nieprzystosowanem specjalnie do potrzeb rządów kościelnych. A kto wie? Może gdzieś, w najbardziej tajemniczej skrytce, znalazłby się nawet hebrajski oryginał ewangelji, według którego jedynym, nie dzielącym z nikim swej władzy nad żydami i obcymi narodami, bogiem jest jednak ów potężny a zazdrosny Jehowa?

Józef Landau

Obiecująca młodzież.

Kwestja to już pozornie nieaktualna. Ponieważ jednak, przy wznowieniu odpowiednich warunków i okoliczności, nietylko w Polsce, ale i gdzie indziej, mogą się powtórzyć te same objawy, więc jestto aktualność stała i niepzzemijająca.

Przypomnijmy sobie awantury, jakie miały miejsce w Uniwersytecie Warszawskim w przeddzień wyborów do Sejmu, w piątek 2 marca r. 1928. Jakaś samozwańcza grupa zadecydowała, że w dniu tym ma się odbyć strajk „akademicki“, i że przemocą należy nie dopuścić do wykładów i zajęć we wszystkich zakładach wszystkich szkół wyższych. Na dziedzińcu uniwersyteckim zjawił się tłum, złożony z pałkarzy i bojowców „narodowych“, walczących o bogoojczyźnianą czystość wyborów.

Między innemi około 11-ej rano przypuszczono szturm do seminarjum filologji klasycznej, gdzie znajdowało się kilka osób, studentów i studentek, przygotowujących się do wykładów i ćwiczeń. Gawiedź pałkarska zażądała od nich stanowczo, ażeby się wynosili z pracowni. Kiedy jedna ze studentek zaprotestowała przeciwko temu łobuzowskiemu żądaniu, została niemiłosiernie obita aż do krwi. Kiedy zaś jeden z kolegów ujął się za nią, banda napastników również go obiła i poszarpała jego palto na strzępy.

Część tej zgrai łobuzów wdarła się do głównego gmachu uniwersyteckiego i zaatakowała m. i. seminarjum języka polskiego, żądając w brutalny sposób, ażeby pracujący tam studenci i studentki natychmiast się wynosili. Przy tej sposobności szlachetni rycerze pałki skradli paltot dyżurnej słuchaczce, nawiasem mówiąc, bardzo niezamożnej.

Pałkowcy, złodzieje, mordercy toć to mniej więcej ta sama kompanja.

Pogotowie ratunkowe było kilka razy wzywane do pobitych i rannych na dziedzińcu uniwersyteckim.

Była to nieprzerywająca się nić wspaniałej tradycji czynów „patryjotycznych“ z grudnia r. 1922, kiedy to „obóz narodowy” znieważał czynnie posłów i senatorów (w tej liczbie także Bolesława Limanowskiego), znieważał korpus dyplomatyczny i wybranego przez zgromadzenie narodowe prezydenta Rzeczypospolitej, którego w kilka dni potem, „zgodnie z wolą narodu”, zdradziecko zamordowano.

A jednak te powtórzone obecnie zbrodnicze wybryki uszły bezkarnie. Żadnego poważnego śledztwa nie zarządzono. Wściekli fanatycy, zawodowi chuligani i najemni „bravi” (bojowcy) tryumfują.

Tymczasem, gdyby poczucie praworządności wzięło górę, należało by zarządzić jak najściślejsze śledztwo, a tym, którym dowiedziono by brania udziału w bandyckich na-

padach, wstęp do uniwersytetu powinien by być zamknięty raz na zawsze.

Zresztą zachodzą pewne okoliczności łagodzące. „Czyny bohaterskie” „szlachetnej młodzieży” bledną poniekąd wobec awantur urządzanych w parlamentach różnopaństwowych przez suwerenów prawodawców.

Tak więc, o ile bandyci w czapkach korporanckich przyznaliby się do winy i obiecali poprawę, mogliby być z czasem przyjęci z powrotem do zakładów, z których zostali usunięci za czyny hańbiące.

Jednakże samym tym czynom hańbiącym, chociażby nawet dokonywanym w imię narodu i ojczyzny, trzeba zapobiegać wszelkiemi sposoby.

J. Baudouin de Courtenay.

Skład armji czwartego zaboru.

(dokończenie).

Ksiądz katolicki w Polsce jest zarazem obywatelem polskim i obywatelem państwa obcego. Jako obywatel polski korzysta z czynnego i biernego prawa wyborczego, może być posłem i senatorem, i jako taki, może się wtrącać do spraw ogólno państwowych; ale władzom państwowym polskim nie wolno się do niego wtrącać, ponieważ jest obywatelem państwa obcego zwłaszcza, gdy wykłada tak zw. religję w szkole, gdzie jest przez nikogo niekontrolowany. Natomiast inni obywatele obcy, a w ich liczbie i członkowie korpusu dyplomatycznego w Polsce nie mają ani czynnego, ani biernego prawa wyborczego. Ksiądz katolicki, gdy mu potrzeba, powiada raz: my, polacy, a drugi raz; my, katolicy. Tymczasem ani p. ambasador Laroche, ani p. poseł Max Miller nie mogą powiedzieć bez narażenia się na śmieszność: ja ambasador Republiki Francuskiej — polak lub: ja, poseł Jego królewsko-brytyjskiej mości — polak. Agentowi papieskiemu to całkiem uchodzi. Kler katolicki posiada własną jurysdykcję w Polsce i wolno mu zmieniać przepisy prawa państwowego mocą wyroków sądów konsystorskich, gdy żadne z państw obcych tego szczególnego przywileju nie posiada. Kler katolicki może bezkarnie wchodzić do szkoły polskiej i tam, przez nikogo nie kontrolowany, urabiać przyszłych obywateli polskich na powolne, bierne i bezmyślne istoty, korzące się nie przed majestatem własnej ojczyzny, lecz przed potrójną koroną papieża i jego kapralami w czarnych spódnicach*), gdy np. tego samego nie wolno byłoby pod żadnym pozorem zrobić, ani posłowi niemieckiemu, ani tem mniej posłowi sowieckiemu.

---

*) W tem miejscu pozwalamy sobie przypomnieć posła z jedynki p. Janusza Radziwiłła, który zanim zgodził się na przyjęcie kandydatury do Sejmu, wpierw zapytał o pozwolenie swego biskupa.

Zaiste, takiego „największego uprzywilejowania“ nie znajdziemy w żadnej z kapitulacyj świata, oprócz kapitulacji, którą Polska podpisała z Watykanem w postaci konkordatu, dzięki temu, że jeszcze jest katolicką i temu, że w sposób na całym świecie niepraktykowany wyzbyła się dobrowolnie swoich prerogatyw i niemal całkowicie przekreśliła swoją suwerenność na rzecz obcych żywiołów.

Zupełnie jak w okresie rozbiorów.

A teraz, co za te niesłychane uprawnienia i przywileje otrzymuje Polska wzamian od katolicyzmu?

Małoduszność rodzima, niemająca nigdy odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, ani nie umiejąca niczego przewidzieć choćby na dystans lat kilkunastu i chowająca przy lada okazji głowę na sposób strusi w lotny piasek oportunizmu i mydłkowania, twierdzi, że doktryna katolicka i wypracowane na jej podstawie metody pedagogiczne, są jedne w stanie utrzymać wierzący a wyzyskiwany motłoch polski w posłuszeństwie—terrorem zmyślonych kar i ponętą wyssanych z palca nagród. Jak wiemy, już Goszczyński dostrzegł, iż owa doktryna i owe zbawcze metody pedagogiczne nie były w stanie w ciągu ośmiu wieków uczynić z Polski miłującej się rodziny, gdy np. protestantyzmowi dość było znacznie krótszego czasu, aby stan moralny swoich wyznawców podnieść na taki poziom, który musi imponować każdemu światlejszemu katolikowi, gdy się znajdzie w krajach o charakterze protestanckim. Tak np. imponowała publicyście zachowawczego „Kurjera Warszawskiego”, p. Zdzisławowi Dębickiemu, uczciwość ludzi w Stanach Zjednoczonych („Za Antlantykiem“) a kapt. Orlińskiemu etyka Japończyków, niewierzących nietylko w Chrystusa, ale nawet w papieża. („Mój lot z Warszawy do Tokio“).

„Katolicyzm — powiada Goszczyński—jest egoistą“ i myśli tylko o sobie i o swoich interesach, a nie o takich ubocznych i nic nieznaczących sprawach, jak etyka. To też nikogo dziwić nie może, że kroniki kryminalne świata utwierdzają najwyższy odsetek przestępczości w krajach katolickich, wśród których Polska nie stanowi, niestety, wyjątku. Zato interesy papieża stoją w tych krajach najlepiej. Jeżeli katolicyzm wypracował doskonale jakie metody, to tylko metody panowania, metody podporządkowania sobie wszystkiego, co się do owładnięcia nadawało. Rzekłbyś, że katolicyzm tylko świat materjalny umiał opanować doskonale. Natomiast wobec świata ducha, o ile go nie zdołał zniszczyć dewocją, raz po raz musiał kapitulować. Kto nie wierzy, niechaj przypomni sobie choćby zeszłoroczną odezwę księży katechetów, którzy się publicznie przyznali do tego, że nie są w stanie dać sobie rady z duszą młodzieży szkolnej i jako główne przeszkody do tego opanowania wymienili krótkie sukienki, poobcinane włosy, dancingi i wojskowe przysposobienie kobiet.

Kto po tysiącu lat bezwzględnego monopolu na wychowanie narodu nie jest w stanie wykazać się żadnemi realnemi re-

zultami pedagogicznemi, nie ma najmniejszych kwalifikacyj do tego, aby się podejmować roli wychowawcy, choćby nawet bezmyślność rodzima w dalszym ciągu utrzymywała, że jedynie katolicyzm rozporządza najlepszemi metodami wychowania etycznego i on jeden jest w stanie uchronić świat od bandytyzmu indywidualnego i publicznego, a co za tem idzie i od komunizmu.

Oto są dalsze paradoksy i anomalje, o których w r. 1841 ani się nie śniło zacnemu Goszczyńskiemu. A jakaż na to rada, aby te niedorzeczności z życia naszego usunąć? Oto poprostu nie dawać się więcej zwodzić chytremu klerowi — jak to nam zalecał Ostroróg — i odpowiednio reagować na wszelkie szykany publiczne i prywatne, płynące z nietolerancyjnego ducha tego kleru.

Wiesław Saczyński.

Kościół i kler w przysłowiach i przypowiastkach.

(dokończenie).

Blisko kościoła, blisko piekła.

Bogate kościoły — biedne chłopy.

Dobro kościelne nie służy, nie wyjdzie na zdrowie.

Dobro kościelne ma pazury krogulcze.

Kościół w Słupi, kto tam chodzi jest głupi.

Kto służy świętym, więcej kadzidła użyje niż chleba.

Mądrym nie ukazują się święci pańscy.

Bliscy nam święci nie czynią cudów.

Umarłych Świętych ugaszcza się, żyjący ludzie pobożni muszą z głodu zdychać.

Kto świętych często odwiedza, temu wkrótce płótna zabraknie na grzbiecie.

Święty robi cuda, a klecha bierze świeczkę.

Świętego, któremu nikt nie składa ofiar, wyrzuca klecha na graty.

Święty wart dla popa tyle, ile mu przynosi dochodu.

Jeśli każdemu świętemu starczyć ma na stoczek, trzeba będzie wiele wosku.

Nie każdy to święty co się żegna.

By dostać się między świętych, trzeba sporo grosza.

Kto z świętymi obcuje staje się sam świętym — mawiała Jewka, wpuszczając braciszka do komory.

Hosanna klasztoru powiada: Błogosławiony, kto wchodzi z worami srebra i złota.

Księże oczy — wilcze gardło, co zobaczy toby żarło.

Marsz do klasztoru, bo ni Bogu, ni ludziom nie jesteś użyteczny.

Im bliżej klasztora, tem chłop nędzniejszy.

Klasztory są rajem, — niby tak samo, jak mnichy aniołami.

Z klasztorami nie będzie prędzej końca, dopóki się ich nie uprzątnie.

Kapucyni najchętniej piją wodę, którą słońce przez winną macicę przedystylowało.

Mniszki poszczą tak gorliwie, że im aż brzuszki pęcznieją.

Były tylko trzy zakonnice, żyjące w czystości: jedna w szeroki świat uciekła, druga w kąpieli się utopiła, a trzeciej jeszcze poszukują.

Cnotliwe zakonnice, bogatych karciarzy i starych trębaczy, rzadko spotkać.

Z dawien dawna był to obyczaj młodych zakonnic: w głowie duchowo-świecko dookoła brzucha.

Przed łóżkiem zakonnicy i modlitwą mnicha nie zdejmuj kapelusza.

Klasztor zakonnic bez stolca akuszerki, jest to zagroda chłopska bez gnojówki

Zakony się pożeniły: krzyżacy wzięli przepych, benedyktyni chciwość, a bernardyni wszeteczność za żony.

Od zakonów i nagłej niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie.

Papież nie ma za grzech ni wstyd, gdy księża płodzą znajdy.

Niechby zaś — który pojął żonę, pokarałby go szpetnie.

Gdy papieża wybierają, niema djabłów doma.

Wszystkie klechy są równe, różnią ich tylko habity i sutanny.

U młodych klechów chętnie się baby spowiadają.

Najwyższe co klecha zna i uznaje, to klecha.

Klechom nie zdoła nic wydrzeć, nawet sam djabeł

Nawet najlepszy klecha jest nicwart.

Klecha lubi grabić, ale nie kopać

Każdy klecha ma dwie ręce: jedną do brania, a drugą by dzierżyć.

Klecha każe dla swej chwały, a nie dla zbudowania drugich.

Trzech klechów w radzie, trzech sędziów bezlitosnych i trzech chciwych a bogatych chłopów, to dziewięć djabłów żywych.

Klecha co nie chciałby panować i rządzić, a wróbel biały to rzadko spotykane zwierzątka.

Żadnego klechy nie użyjesz darmo.

Klecha i cyrulik chętnie krwi upuszczą.

Klecha w sadzie, świnia w kąpieli i pies w kuchni psują powietrze.

Klecha żegna, nasamprzód siebie.

Klechy zaglądają chętnie, gdzie ostatnią spisują wolę.

Klecha liczy złoto, nie dusze.

Od klechy tudzież końskiego kopyta trzymaj się zdala, bo złe się przypęta.

Podczas gdy klecha mszę śpiewa w kościele,
W domu mu dziewka nagrzewa pościele.

Gdy klechę biją, cieszą się w niebie anieli.

Choć klecha już zastygł, wciąż dzwony wołają: daj grosik, daj grosik!

Co klesze odmówisz, uratowałeś — Bogu.

Tam gdzie klechy rządzą butnie, skończyć się musi smutnie.

Kto klechom zaufa snadnie, niech nie płacze, gdy płakać mu wypadnie.

Kto zaufa klesze, pozbawion jest pięciu zdrowych klepek.

Klechy kupczą mszami, by żreć dobrze, trząść uszami.

Ukąszenie klechy i ukąszenie wilka, trudno się goi.

Żaden habit kleszy nie dość święty, by djabeł w niego nie mógł się wślizgnąć.

Gdyby istniał zakon drwali, żaden mnich by doń nie przystał.

Worek kleszy jest bezdenny.

Kto się o kościół opiera, temu snadnie na głowę bałwan spadnie.

Kościoły są najsilniejszemi twierdzami głupoty.

Wiara kościelna — to gorzka woda, co żadnego nie ugasi pragnienia.

Był w kościele, ale na swoich chrzcinach.

Choć pójdę do kościoła, ale się modlić nie będę.

Co mi po kościele, kiedy dusza w ciele.

Do kościoła ludzie nie chcą chodzić. musi ich ksiądz na postronku wodzić.

Gdzie wszyscy święci w kościele, tam najbardziej pusto.

Kto kościołowi służy, z kościoła się żywi.

Nie wszyscy święci bywają, co do kościoła chadzają.

I u księdza serce nie z mosiądza,

Jak ksiądz kolatora o dziesięcinę, tak kolator księdza o dziewczynę.

Jak się ksiądz do syta naje, to mu lekko o postach kazanie robić.

Komu ksiądz raje, temu djabeł ślub daje.

Ksiądz djabła wypędzi, a sam za dziesięć stanie.

Ksiądz grzeszy i rozgrzeszy.

Ksiądz i niewiasta z jednego ciasta.

Księże pieniądze na dobre nie wyjdą.

Księże prałacie, inszych nauczacie, sami nie działacie.

Wziął djabeł księdza, niech weźmie rektora.

Dobra wiara, zła to miara.

Każdą wiarę bierz pod miarę.

Pusto, jak w kalwińskim kościele.

Chwieje się, jak luterska wiara.

Będzie luter w niebie, gdzie kura grzebie

Pobożny luter: sam zjadł jajko, a ubogiemu dał polewkę.

Wszystkie żydy złodzieje, rabin najstarszy.

Żydowską lichwę, księży zbiór, zabiera djabeł w jeden wór.

Żyd żyda, ksiądz księdza o sto mil zwietrzy.

L. Maręda.

Przypisek Redakcji: Gdyby w rozmaitych okolicach kraju były w użyciu inne jeszcze przysłowia dotyczące kleru, prosimy czytelników o łaskawe komunikowanie ich nam.

Zacięte konflikty, oceniane ze stanowiska wolnomyślicielskiego czyli objektywnego.

I.

WZAJEMNA WYROZUMIAŁOŚĆ.

Żyjemy w epoce tęsknoty do „silnej władzy“, do zmiany konstytucji, w epoce narzekań na „sejmowładztwo“ z jednej strony, a obawy przed „faszyzmem“ i „dyktaturą” z drugiej strony. Istotnie doświadczenie dotychczasowe daje prawo do niezadowolenia. Chodzi jednak o to, ażeby nie wpaść z deszczu pod rynnę.

Jedni ufają instynktowi zbiorowemu, głoszą aforyzmy w rodzaju „gromada to wielki człowiek“, „vox populi — vox Dei“ (głos ludu — głos Boga), „lud nigdy się nie myli“ i t. p. Drudzy zaś, zapatrzeni w uwielbianą jednostkę jak w tęczę, uważają ją za nieomylną i wzywają do bezwzględnego posłuszeństwa nawet wszelkim lekkomyślnym zachciankom i kaprysom tej ubóstwianej jednostki.

Zarówno jedno, jak i drugie stanowisko nie daje się uzasadnić ani pod względem teoretycznym, ani też w zastosowaniu praktycznem.

Szanse trafności, słus ności i prawdziwości absolutnej maleją w stosunku prostym do liczebności zbiorowiska, rozstrzygającego o tej lub innej kwestji. Inaczej zaś rzecz się ma przy kierowaniu się względem na potrzeby i interesy danej społeczności, o ile oczywiście członkowie tej społeczności rozumieją własny interes i są dostatecznie uświadomieni w tej dziedzinie myślenia praktycznego. Głosowanie i rozstrzyganie większością głosów w sprawie zjawisk astronomicznych, w sprawie obliczania czasu w związku z systemem planetarnym, w związku z obrotem ziemi około słońca i t. p. byłoby objawem głupoty. Jeżeli jednak chodzi o ustalenie początku i końca doby, o podział czasu zarówno w ciągu dnia, jak i w ciągu roku w związku z życiem gospodarczem, administracyjnem, szkolnem i t. d. w obrębie całego państwa lub też innej jednostki gieograficzno-ekonomicznej, rozstrzyganie bądź to przez demokratyczne głosowanie, bądź też za pomocą rozporządzenia jednostkowej władzy prawodawczej est całkiem na miejscu.

Wogóle jednak tam, gdzie rozstrzyga jedynie czysta myśl naukowa, myśl wolna od jakiegokolwiekbądź nacisku, nie może imponować ani ilość uczestników, ani też autorytet władzy, choćby nawet z „bożej łaski“ czy też z „woli ludu“ pochodzącej. Jak ze stu tchórzów, zebranych w oddział dyscyplinowany, tresowany pod hasłem „myśli karnej i zorganizowanej“ i słuchających głosu psiej komendy, można utworzyć oddział „waleczny“ i „bohaterski“, tak również tłum, złożony ze stu pierwszorzędnych uczonych, mędrców i filozofów, staje się bezmyślnym tłumem, kierującym się, jak wszelki inny tłum, nie wskazówkami myśli czystej i niepodkupnej, ale tylko namiętnościami i emocjami.

Przemawia to jak gdyby przeciwko ustrojowi demokratycznemu.

Gdyby „arystokracja‘, oznaczała istotnie ustrój, odpowiadający pierwotnemu znaczeniu tego wyrazu, t. j. rząd („kracja“) najlepszych („aristo“), należałoby bez wahania oddać jej pierwszeństwo przed wszelkim rządem gromadnym, przed rządem ludu („demo“), który to rząd, doprowadzony konsekwentnie do ostateczności, staje się rządem gawiedzi, rządem motłochu („ochlokracja“) lub rządem smarkaczów („pajdokracja“). Jak nas uczy doświadczenie historyczne, tak zwany rząd ludu, czy to wogóle „ludu“, czy też „proletarjatu“, sprowadza się w gruncie rzeczy do rządu podżegaczy, prowodyrów i uzurpatorów, umiejących

zręcznie schlebiać dzikim, sadystycznym instynktom i drapieżnym apetytom tłumu.

Ci podżegacze i uzurpatorowie są to także swego rodzaju „najlepsi“, arystokraci. Niestety, i inni „arystokraci“ rządzący nigdy prawie nie są najlepszymi, najrozumniejszymi i najuczciwsyymi; rolę „najlepszych“ grają w danych warunkach najsilniejsi, najwpływowsi, umiejący zawładnąć umysłami i sercami tłumu, jednem słowem tak czy inaczej uprzywilejowani.

Wobec tego pamiętajmy przedewszystkiem, że wszelkie zamachy na istniejący i stosowany w życiu danego społeczeństwa ustrój państwowy są połączone z ryzykiem, z niebezpieczeństwem wstrząśnień, niezbyt pożądanych ze stanowiska trwałości istnienia państwa, zwłaszcza państwa, dopiero co stworzonego.

Przedewszystkiem więc nie zdenerwowanie i wściekłe rzucanie się sobie do oczu z pianą na ustach, ale oględność i spokojne omawianie kwestji poprawek ustroju, bez wzajemnych obelg i oszczerstw, z uwzględnieniem „dobra ogólnego“, a przedewszystkiem szczęścia, spokoju i dobrobytu maluczkich, na których wielcy politycy i „kierownicy nawy państwowej“ nie zwracają, zwykle najmniejszej uwagi.

J. Baudouin de Courtenay



Pióro, którem się pisze odezwy biskupie.

Nadzieja torturą.

Pewnego dnia o zmierzchu zeszedł do podziemnych lochów klasztoru w Saragossie wielebny Pedro Arbuez d'Espila, szósty z rzędu przeor dominikanów, trzeci Wielki Inkwizytor Hiszpanji, w towarzystwie brata redemptorysty i dwóch pachołków św. Inkwizycji z latarniami w ręku. Zgrzytnął zardzewiały zamek w ciężkich żelaznych drzwiach, weszli do smrodliwego lochu przesiąkniętego zgniłem powietrzem. Przy słabem świetle, padającem z okienka, umieszczonego pod sufitem, widać było pokrwawione narzędzia tortur, kominek i dzban. Na zbutwiałej, cuchnącej słomie siedział człowiek nieokreślonego wieku, w brudnych łachmanach, zakuty w kajdany, z żelazną obręczą na szyi.

Więźniem tym był rabbi Aser Abarbanel, żyd aragoński, oskarżony o lichwę i brak litości dla nędzarzy. Zgórą od roku brany był codziennie na tortury, a jednak „zaślepienie jego było tak twarde, jak jego skóra". Za nic nie chciał wyrzec się swych błędów i przyjąć chrztu, który mu po każdej kaźni ofiarowywano. Dumny ze swego odwiecznego rodu, dumny ze swoich przodków, wywodzących się według świętych ksiąg Talmudu od Othoniela i Ipsiboe, żony owego ostatniego Sędziego Izraela, szczycił się swą krwią i swojem pochodzeniem. Poczucie owej wyższości dodawało mu odwagi w chwilach najcięższych mąk.

Widząc ten szatański upór i tę nieugiętą zatwardziałość, odtrącającą z pogardą zbawienie, wielebny Pedro Arbuez d'Espila zbliżył się ze łzami w oczach do drżącego rabbi i przemówił doń w te słowa:

— Ciesz się, synu, oto wkrótce nastąpi kres twych prób na ziemi. Wobec twojego uporu musiałem wprawdzie, acz z przykrością i bólem, zezwolić na zastosowanie względem ciebie surowszych środkow, ponieważ moje braterskie upominanie i chęć osiągnięcia twej poprawy mają swoje granice. Jesteś jako niepłodne figowe drzewo, skazany na uschnięcie. Niech tędy Bóg stanowi teraz o twoim losie. Może jego nieskończone miłosierdzie da ci przejrzeć błędy twoje choćby w ostatniej chwili. Ufajmy, że tak będzie! Albowiem bywały już podobne wypadki. Niech się zatem dzieje jego św. wola. Pozostań dziś w spokoju. Jutro poddany będziesz próbie ognia, który pali z oddalenia, przynosząc śmierć po dwu, a czasem po trzech godzinach, a to dzięki wilgotnym i zimnym okładom, które zwykliśmy kłaść na czoło i serce skazańca. Będzie was tylko czterdziestu trzech. Ty będziesz umieszczony w ostatnim rzędzie, abyś miał dość czasu na wzywanie Boga i na ofiarowanie mu za swoje przewinienia i błędy tego Chrztu Ognia, który pochodzi od Ducha św. Ufaj tedy temu Światłu Wiecznemu i śpij w spokoju!

Skończywszy to przemówienie, don Arbuez dał znak skinieniem ręki, aby zdjęto kajdany z rąk nieszczęśliwego człowieka, poczem serdecznie go uścisnął. Z kolei uczynił to samo brat, redemptorysta, mistrz tortur, który jednocześnie przepraszał po

cichu swą ofiarę za wszystkie męki, jakie zmuszony był zadać dla jego niewątpliwego zbawienia. Uścisnęli go również i obaj pachołkowie, nie rzekłszy doń słowa. Po tej ceremonji oniemiały i przerażony więzień pozostał znowu sam w ciemnym cuchnącym lochu.

Rabbi Aser Abarbanel, ze spieczonemi od gorączki ustami i zbolałą twarzą, spojrzał odruchowo na zamknięte drzwi. „A może niezamknięte“? Wyraz ten w szukających ratunku myślach więźnia obudził tlejącą iskrę nadziei, zwłaszcza, że przez szparę pomiędzy drzwiami a murem, rabbi dojrzał błysk oddalającego się światła. Drgnął. Resztkami sił dowlókł się do progu i z niesłychaną ostrożnością włożył palec pomiędzy uchylone drzwi. Pociągnął je zwolna ku sobie. O, rzeczy niepojęta! Jakiemś dziwnem zrządzeniem losu wychodzący braciszek, niedomknąwszy dobrze drzwi, przekręcił klucz w zamku. Stały one teraz przed więźniem otworem. Rabbi uchylił je zlekka i wyjrzał. Zamajaczyły mu w mroku półkoliste ściany korytarza i pięć czy sześć stopni kręconych kamiennych schodów. Przyczołgał się na sam brzeg progu. Tak, to był korytarz, ale jakże długi! Rozjaśniało go, niby promyk nadziei, blade światło kaganków, wiszących tu i owdzie u sklepienia. W głębi panował mrok. Żadnych drzwi na całej przestrzeni. Tylko po lewej stronie na wprost drzwi jego celi, osadzone głęboko w murze małe zakratowane okienko, wpuszczało do wnętrza nieco słabego pozachodniego światła, które czerwonemi plamami kładło się na stopniach schodów i pobliskim murze. Cisza była przeraźliwa. A jednak tam gdzieś, na końcu korytarza, musiało się znajdować wyjście, a za niem — wolność. Słaba nadzieja żyda wzmogła się, gdyż była ostatnią.

Prawie bez namysłu zaczął się zwolna posuwać wzdłuż ciemnego muru, starając się stopić z nim w jedną całość. Wlókł się z niebywałym trudem, czołgając na piersiach i siłą powstrzymując się od krzyku, gdyż niezagojone rany sprawiały mu dokuczliwy ból przy każdem poruszeniu. Nagle usłyszał w kamiennej alei echo zbliżających się kroków w sandałach. Z przerażenia pociemniało mu w oczach. Zadrżał na całem ciele. A więc koniec! Przytulił się do zimnego muru i czekał napół żywy.

Był to pachołek św. Inkwizycji w nasuniętym na głowę kapturze, z obcęgami do wyrywania mięśni w ręku. Przeszedł szybko i zniknął. Na widok tych obcęgów, których żelazny chwyt rabbi znał dobrze, zamarło w nim życie. Przez godzinę prawie nie mógł się ruszyć z miejsca. Obawiając się jeszcze sroższych tortur w razie przychwycenia, był już zdecydowany wrócić do swej celi. Ale dawna nadzieja, pocieszycielka umęczonego serca, szeptała mu wciąż do ucha swoje kuszące „a może“. Przecież to cud chyba, że go nie wykryto. Pocóż więc się wahać i wątpić? I znów zaczął się czołgać. Wyczerpany z głodu i bólu, drżący z trwogi i niepokoju, posuwał się naprzód. A ponury korytarz zdawał się nie mieć końca i przedłużać w sposób niepojęty. Dążył jednak wciąż przed siebie, mając wzrok utkwiony w ów tajemniczy punkt, gdzie powinno się znajdować wyjście, mające być dla niego wybawieniem.

Nagle znów usłyszał jakieś kroki po kamiennej posadzce korytarza. Tym razem były one jakieś wolniejsze, a zarazem bardziej złowrogie. Przywarł znów do muru i wstrzymawszy oddech, czekał. Po chwili ukazały mu się w cieniu biało-czarne postacie dwu inkwizytorów w wielkich podwiniętych kapeluszach. Rozmawiali po cichu, żywo gestykulując, jak gdyby dyskutowali lub sprzeczali się ze sobą.

Na ten widok rabbi Aser Abarbanel przymknął oczy: zadrgało mu gwałtownie zamierające serce, zimny pot konania przeniknął jego cuchnące łachmany i jak martwy legł bez ruchu na kamiennych płytach posadzki. Bezradny, wzywał Boga Dawidowego.

Przechodząc mimo dwaj inkwizytorzy zatrzymali się około niego, zupełnie bezwiednie. Przyczem jeden z nich spojrzał na rabbiego. Pod tym wzrokiem nieszczęsnemu zdawało się, że czuje piękący żar obcęgów, szarpiących jego biedne ciało. Oto stanie się znów jedną skargą i jedną raną. Omdlały, bez oddechu, zatrząsł się cały, gdy go musnął habit inkwizytora. Ale oto stała się rzecz dziwna i naturalna zarazem. Oczy inkwizytora były w owej chwili oczami człowieka, zatopionego w własnych myślach. Nie wiadomo, czy zajęty był szukaniem odpowiedzi na zadane mu pytanie, czy rozważaniem tego, co usłyszał w odpowiedzi od swego towarzysza. Oczy te patrzyły na żyda, nie widząc go. Po upływie kilku chwil złowrogie postacie oddaliły się zwolna, w kierunku, skąd więzień wyszedł, szepcąc ustawicznie. Nie widzieli go! W strasznej rozterce uczuć nieszczęsnemu przebiegła przez głowę myśl nieprawdopodobna: „Czyżbym już nie żył, skoro mnie nie widzą?“ Jakieś niemiłe, obrzydliwe uczucie wstrząsnęło całem jego jestestwem. Spojrzał przed siebie i dostrzegł na ścianie dwoje złowrogich oczu, wpatrujących się w niego badawczo. Oszalałym, nagłym ruchem odrzucił w tył głowę, włosy stanęły mu dębem. Pomacał mur rękami i przekonał się, że był to tylko odblask oczu inkwizytora, które czuł jeszcze w swoich źrenicach. Odetchnął więc z ulgą. A teraz w drogę! Niema chwili do stracenia! Oto zaledwie jakieś trzydzieści kroków dzieli go jeszcze od wybawienia. I znowu rozpoczął swoją bolesną wędrówkę. Czołgał się teraz na kolanach, na rękach, na brzuchu. Byle prędzej, byle prędzej!... I wkrótce ogarnął go mrok zupełny tego strasznego korytarza. Czołgał się wciąż. Wreszcie poczuł na rękach chłód zimnego powietrza, wiejącego po kamiennych płytach posadzki. Wiatr ten wiał przez szpary w drzwiach, wiodących na dziedziniec. O, Boże, a gdybyż te drzwi były otwarte!

Wstrząs nadziei poruszył całą jego istotę. Długo wpatrywał się w owe drzwi, nie mogąc nic rozróżnić w mroku. Wyciągnął rękę i zaczął ostrożnie badać je od góry do dołu. Macał. Ani rygla, ani zamka. A to co? Klamka? Podniósł się. Położył na niej rękę. Klamka odsunęła się pod naciskiem jego palca i tajemnicze drzwi otworzyły się przed nim.

— Alle — Jah! wyszeptał rabbi, czując bezmiar doznanej łaski. Stanął na progu. Drzwi rozwarły się na ogród, na noc księ-

życową, na wiosnę, na zycie, na wolność. Rozwarły się na bliską wieś, na skały, na krętą siną ich linję, ginącą na widnokręgu. Tam było zbawienie! Ach, gdyby można było uciec! Biegłby przez całą noc po tych gajach cytrynowych, których zapach dolatywał do jego nozdrzy. Skoro tylko znajdzie się w tych górach, będzie ocalony. Wdychał chciwie świeże pachnące powietrze, wiatr orzeźwił go, płuca odżyły. W przepojonem radością sercu zadźwięczały mu słowa: „Veni foras, Cazare“. (Łazarzu, wyjdź). By jeszcze raz podziękować Bogu za doznaną łaskę, wzniósł w górę ramiona i oczy i popadł w zachwycenie.

Zdawało mu się wówczas, że okrążają go cienie jego własnych ramion, że obejmują go, że tuli się do czyjejś piersi, W istocie, jakaś postać wysoka stała przy nim. Pełen ufności spojrzał na nią i nagle skamieniał z przerażenia. O zgrozo! Był w objęciach Wielkiego Inkwizytora, czcigodnego Pedra Arbuez d'Espila, który patrzył nań ze łzami w oczach, jak dobry pasterz radujący się ze znalezienia zbłąkanej owieczki. Ponury kapłan w najszczerszym porywie miłości tulił do piersi zamierającego z trwogi żyda, aż końce mnisiej włosienicy pod habitem wpijały się w pierś dominikanina. Biedny rabbi pojął w jednej chwili, że wszystkie przejścia tego nieszczęsnego wieczoru były jeno zgóry przygotowaną dlań torturą: torturą utraconej nadziei.

Wielki Inkwizytor z wyrazem bolesnego wyrzutu szeptał mu teraz do ucha gorącym i zmienionym od postów głosem:

— Jakto, synu? Jutro mógłbyś być zbawionym, a dziś chciałeś nas porzucić?...

A. de Villers de L'Isle Adam.

Przekład z francuskiego H. W.

Pamiątka, czy prezent?

W tych dniach jeden z naszych członków otrzymał wezwanie do ofiarowania fantu na loterję, z której dochód ma być przeznaczony na rzecz odbudowy kościoła św. Jerzego w Cytadeli Warszawskiej. Choć list na stronie adresowej ma dwa stempelki: „Kierownictwo Rejonu Duszpasterstwa Rzym.-Katolickiego w Warszawie“ i „Opłata ryczałtowa na mocy art. 23 ustawy itd.“, to jednak pod wezwaniem podpisany jest nie „kierownik rejonu“, a proboszcz parafji, ks. Ugniewski. Mamy więc tutaj do czynienia z takiem samem nadużyciem poczty do celów kwestarskich, pod płaszczykiem korespondencji urzędowej, o jakiem piszemy na innem miejscu w związku z akcją posła dr. Putka.

Ale to nie jest rzecz główna. Chodzi nam o co innego.

Oto przyjaciel nasz otrzymał jednocześnie także dłuższą nieco odezwę, zaczynającą się sakramentalnie: „Rodacy!“, wydaną przez Komitet odbudowy kościoła w Cytadeli, a wydrukowaną przez drukarnię D. O. K. I. Odezwa wzywa do składania datków pieniężnych (załączono blankiet P. K. O.) na godny cel

przebudowania b. cerkwi na kościół św. Jerzego w Cytadeli. Pod tem wezwaniem podpisanych jest oprócz proboszcza ks. Ugniewskiego. kilku pułkowników.

Patetyczna odezwa stara się uderzać w struny patrjotyczne. Przypominając męczeństwa tych, co odważnie wznosili sztandar buntu przeciwko najeźdzcy i umierali za idee niepodległości Polski, podpisani uważają, że najodpowiedniejszą formą uczczenia pamięci bojowników będzie wzniesienie katolickiego kościoła w Cytadeli.

Możemy się zgodzić z podpisanymi, że cerkiew prawosłżwna w Cytadeli, będącą zabytkiem niewoli moskiewskiej, należy zburzyć. Należy zburzyć, nie zostawiając kamienia na kamieniu, ale nie na to, by na jej miejsce stawiać znów dom modlitwy, w którym zamiast popa „nauczać“ będzie klecha katolicki. Zgadzamy się, że „miejsce ich (t. j. więźniów politycznych) katuszy dla wszystkich pokoleń winno pozostać drogie i święte, otoczone pamięcią ofiarną i miłością serca polskiego“, ale nie możemy zrozumieć, dlaczego czcić mamy ich pamięć właśnie przez budowanie jeszcze jednego kościoła, skoro w Warwie jest ich więcej, niż schronisk i przytułkow!

Czyż niema innych form uczczenia pamięci bojowników niepodległości, jak tylko w ten sposób? Przecież ci bojownicy, gdy walczyli za umiłowane idee: niepodległości Polski i socjalizm, byli wyklinani z ambon przez kler. W czasie, gdy siedzieli w X pawilonie, kler słał carom i kajzerom służalcze adresy z zapewnieniem wiernopoddańczych uczuć! Dzisiaj, gdy chodzi o wyciągnięcie pieniędzy z kieszeni obywateli, proboszcz parafji nie waha się nadużywać imienia wyklinanych niegdyś bojowców.

Można przypuszczać, że podpisani pułkownicy położyli takie, czy inne zasługi dla odzyskania niepodległości. Jakie jednak zasługi położył proboszcz parafji św. Jerzego ks. Ugniewski, tajny szambelan papieski? Jakiem czołem śmie dyskontować cierpienia wyklinanych niegdyś bojowców na swoją korzyść?

O cóż więc właściwie chodzi podpisanym pod odezwą pułkownikom: o pamiątkę narodową czy o prezent dla p. Ugniewskiego z funduszów składkowych?

— — — — — — — — — — — — — — —

W Cytadeli wznosić się ma kościół... Gdy chodziło o podwyższenie zaopatrzenia dla żyjących byłych więźniów politycznych, wtedy przeciwko wnioskowi takiemu wystąpili w Sejmie ludzie, mieniący się piłsudczykami i wniosek upadł. Dla ludzi, którzy życie swe narażali dla Polski, którzy zmarnowali swoje młode lata w więzieniach, nie znalazły się pieniądze, ale Rada Ministrów, pod przewodnictwem najzagorzalszego bojownika o niepodległość, uchwaliła w czerwcu jednorazowy zasiłek dla duchowieństwa katolickiego, równający się 22,5% uposażenia. Dla kleru, co wyklinał bojowców z ambon, dla kleru, co płaszczył się przed zaborcami!!! Dla kleru, co ogłu-

pia polskich obywateli i czyni z nich nie synów Ojczyzny, lecz niewolników Watykanu, gruntującego swoją władzę na zbrodni i oszustwie. A w Cytadeli wznosić się ma kościół św. Jerzego.

— — — — — — — — — — — — — — —

W Warszawie jest dużo, b. dużo kościołów. Budują się jeszcze nowe. W tym samym czasie tysiące rodzin bezdomnych gnieździ się w barakach na Żoliborzu, czy Annopolu. Setki ludzi śpi na ulicach, we wnękach murów, po bramach.

Tym ludziom przedewszystkiem trzeba dać dach nad głową, mieszkanie godne człowieka! Zbudować trzeba domy, a nie kościoły. Nie wolno naigrawać się z nędzy. W kościołach warszawskich i tak niema przepełnienia. „Wierni“ doskonale się zmieszczą!

W Cytadeli zaś budować kościół, to wymierzać policzek tym, co w niej cierpieli za Polskę. Należy tam, zamiast kościoła, wznieść muzeum, poświęcone historji walk o niepodległość, w szczególności zaś martyrologji bojowników o Polskę z r. 1905, 1906 i poprzednich. Bo kościół w Cytadeli będzie profanacją drogiego sercu każdego Polaka miejsca. Będzie świadczył, że ofiary Okrzei, Montwiłła i tylu, tylu innych poszły na marne, bo na miejscu Moskali zapanował Rzym.

T. Brzeziński

Religja a nadprzyrodzoność.

Religja jest pewną sumą pojęć, w których człowiek ześrodkował swoje duchowe potrzeby, wypływające z jego serca i umysłu i które przybrał w pewne formy i związane niemi obrzędy.

Doświadczenie wieków ubiegłych wskazuje, że każda religja posiada pewną siłę rozpędową, nadaną jej przez założyciela lub założycieli. Dzięki niej zdobywa ona sobie zwolenników, wznosi się — (prędzej lub wolniej, zależnie od okoliczności i warunków) — na pewien stopień rozwoju, utrzymuje się tam przez dłuższy lub krótszy okres czasu i powoli, lecz nieuchronnie, poczyna staczać się w dół, w końcu zanika, zostawiając po sobie głębsze lub płytsze ślady.

Jest to zjawisko powtarzające się co pewien czas w dziejach ludzkości i jako takie nie ulega żadnemu zaprzeczeniu.

Ponieważ potrzeby duchowe istnieją odkąd istnieje ludzkość i są one przyrodzoną właściwością każdego człowieka, na przeżywanie się religij wpływa przedewszystkiem rozwój duchowy i umysłowy ludzkości, wzrost kultury, dobrobytu i oświaty powszechnej. Z rozwojem tym zmieniają się również pojęcia ludzkie, mające

swój wyraz w pewnych formach religijnych lub w samej religji. Gdy rozwój kultury i oświaty dochodzi do pewnej wyżyny, natenczas religja przestaje zupełnie istnieć. Ludzkość wyrasta z niej, jak wyrasta dziecko ze swego dziecinnego ubranka. W najlepszym razie staje się ona wówczas wspomnieniem, ale nie potrzebą.

Pojęcia, na których zasadza się istnienie wszystkich dotychczasowych religij, zawarte są głównie w dwóch następujących twierdzeniach:

Popierwsze, że religja opiera się na takiem lub innem objawieniu, danem człowiekowi przez istotę bezwzględnie od niego wyższą, nadprzyrodzoną (o ile w „przyrodzie“ może być coś „nadprzyrodzonego“), zwaną bogiem i będącą zarazem sprawcą wszystkiego, co nas otacza; po drugie, że religja opiera się na takiem lub innem wyobrażeniu człowieka o sprawach dla niego w danej chwili niepojętych, — wyobrażeniu, zależnem całkowicie. od stanu wiedzy człowieka i rozwoju jego umysłu, dzięki którym to czynnikom człowiek ów zwykł jest przypisać pewne sprawy własnościom wyrozumowanej przez siebie istoty wyższej, zwanej potocznie bogiem.

Jeżeli przyjmiemy twierdzenie pierwsze, to w wyniku winniśmy otrzymać bezwzględną trwałość objawionych zasad religijnych, bez możności naruszenia ich kiedykolwiek — przy tym czy innym stopniu wiedzy i rozwoju myśli ludzkiej. Albo też, w razie zaniku danej religji, dochodzimy logicznie do wniosku, że istota, zwana bogiem, pomimo uznania jej wyższości, nie jest na tyle wyższa, by objawione przez nią zasady mogły się skutecznie przeciwstawić ludzkiemu rozumowi. Wobec czego istota ta nie może być bogiem, lecz jedynie wytworem ludzkiej wyobraźni, lub rozumowym błędem człowieka. Objawienie zaś zejdzie wtedy automatycznie do roli przywidzenia, do roli czeku bez pokrycia.

Może jednak wtedy istnieć jeszcze jedno przypuszczenie, a mianowicie, że właśnie rozum, przeciwstawiając się objawieniu, może błądzić. To ostatnie bowiem mogłoby przynieść tak wielką prawdę, że żaden rozum ludzki zgłębićby jej nie zdołał. Lecz jeśliby prawda ta była tak wielka, to wszelkie wnioski z niej wysnute i na niej oparte przykazania, ceremonje i wierzenia religijne, jako wyrozumowane przez ludzi, niemogących zgłębić istoty danej rzeczy, byłyby błędne.

Innemi słowy: zasada sama pozostałaby prawdą, zewnętrzny zaś jej kształt, w który ją obleczono, a więc religja, byłby błędem. Rozum wtedy odrzuciłby kształt, a zatrzymałby zasadę. I znowu nastąpićby musiał upadek religji.

Za objawioną religję poczytuje się dziś zarówno chrystjanizm, jak buddyzm, islam i mozaizm. Za objawione podawały się również rozumowe religje pogańskiego Rzymu, Grecji, Egiptu i Chaldei. Wszystkie te religje mają wiele

cech wspólnych, lecz każda z nich jest odmienna co do formy i wyrazu. Któreż tedy z objawień jest wobec tego prawdziwe?

To, że jedne z religij już upadły i przeżyły się, a drugie jeszcze istnieją lub powstały później, bynajmniej nie dowodzi prawdziwości tych ostatnich. I one mogą upaść tak samo jak upadły poprzednie, i w podobnych co tamte okolicznościach.

Dzieje upadłych religij pouczają nas, że wszędzie odrzucano najpierw kształt, a w końcu i samą zasadę. A więc nie było nigdzie w dziejach ludzkości nadprzyrodzonego objawienia, żadnej takiej prawdy religijnej, którąby rozum ludzki przez nabytą wiedzę, odkrycia i doświadczenia, uznał za rzeczywistą.

Wszelkie objawienia, o ile nie były celowem oszustwem, były tylko przywidzeniem. Istota zaś wyższa — bóg — nie była bogiem, lecz istniała tylko w ludzkiej wyobraźni, jako pojęcie, jedynie możliwe wyjaśnienie spraw dla ludzkiego umysłu w danej chwili niepojętych.

W zasadzie więc dochodzimy tutaj do twierdzenia drugiego, tyczącego się istoty religji, a mianowicie, że religja opiera się na takiem lub innem pojmowaniu przez człowieka spraw dla niego naogół niepojętych. Niemożność wytłumaczenia sobie całego szeregu przyczyn i skutków człowiek rozumiał jako coś nadprzyrodzonego przypisał istnieniu wyższej od siebie istoty. Sposób pojmowania tej istoty zależny był zawsze od stopnia wiedzy, jaką człowiek miał o świecie.

Wiara w istnienie owej istoty była koniecznem i logicznem następstwem świadomego, a może tylko podświadomego stwierdzenia przez człowieka własnej niewiedzy i własnej bezradności wobec otaczających go spraw.

W miarę postępu wiedzy, zwęża się obszar „niewiadomego“ i znika nadprzyrodzoność bóstwa. Tajemnicza zasłona z oblicza boga, którego nikt nigdy nie oglądał i nie mógł oglądać, opada. Bóg staje się przenośnią, czystem pojęciem, a następnie rozwiewa się w nicość.

Oto są przyczyny i fazy narodzin, wzrostu i upadku wszystkich dotychczasowych religij bez względu na to, czy przyjmiemy jedno, czy drugie twierdzenie.

Jak widzieliśmy i jedno i drugie twierdzenie jest błędem. Innego twierdzenia niema, bo być go nie może.

Ponieważ wszystkie dotychczasowe religje uważały się i uważają za objawione lub powstawały, na zasadzie rozumowej, dostosowanej do pojęć danego środowiska i epoki, i, jak wykazaliśmy przed chwilą, obie te zasady okazały się błędne, musimy dojść do wniosku, że żadna religja nie jest oparta na prawdzie, i że żadna nie jest prawdziwa.

Gdzież jest tedy prawda? Czy bezpodstawność dotychczasowych religij przeczy istnieniu boga? czy boga niema? Niewątpliwie. Bo prawda jest i jest tylko jedna. Nie ta

objawiona, lecz ta do której dochodzimy najwyższym wysiłkiem rozumowym. Znały ją i znają jako „Wielką Tajemnicę“ starożytne świątynie Chaldei, Egiptu, Indyj. Znały ją, lecz jej nie wyjawiały tłumowi, który do jej zrozumienia nietylko wówczas, ale i dziś nie dorósł, skoro wierzy po dziś dzień w rzeczy sprzeczne z rozumem. A może to nie jego wina? Może to tylko komuś zależy na tem, aby tłum trwał stale w swojej odwiecznej ciemnocie?.. Odpowiedź na to pytanie jest nietrudna.

Wiemy, że istnieje wszechświat. Lecz skąd się on wziął? z czego powstał? czy miał jakowyś początek? Skoro jest — musi zawdzięczać swe istnienie tylko jednej z dwóch istniejących możliwości: albo powstał z czegoś, albo powstał z niczego. Jeżeli z niczego, to owo „nic“ musiało być również „czemś“ skoro zawierało w sobie warunki i możliwość wyłonienia z siebie wszechświata. A więc stworzenie z niczego jest nonsensem. Pozostaje zatem tylko wtóra możliwość. Lecz tu myśl ludzka musi zawrócić z drogi; doszła bowiem do kresu „niepoznawalnego“.

W jednym i w drugim wypadku musiałaby prócz materji wchodzić w grę jakaś niepojęta dla ludzkiego umysłu Siła, zdolna wprawić w wirowy ruch ową kosmiczną pra-mgławicę, z której łona wyszły gwiazdy, słońca i planety.

A jednak świat istnieje. Istnieje harmonja ruchów ciał niebieskich — w wiecznym Czasie i w bezgranicznej Przestrzeni, (o ile jesteśmy w stanie wyobrazić sobie wieczność i coś, co nie posiada końca ani kresu), oparta na zasadach mechaniki, na sile przyciągania i odpychania.

Jest to fakt, któremu nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Inaczej musielibyśmy zwątpić o naszych zmysłach i o naszem wogóle istnieniu.

A skoro świat istnieje, musi istnieć również i owa siła, która warunkuje jego istnieje. Wiemy, że ona jest. Wiemy, bo daje ona nam stale znać o sobie. Odczuwamy ją na każdym kroku, ale nie wiemy, *czem* ona jest i skąd się wzięła. Bo zarówno jej istota, jak i jej początek wymyka się naszemu zmysłowemu doświadczeniu. A czyż można wydawać sąd o tem, czego nie znamy? co jest dla naszych zmysłów niedostępnę? Przecież to, co nie podpada pod nasze zmysły, nie istnieje dla nas. I tak jest w istocie. Początek i koniec materji i siły nie istnieje dla nas, choć istnieje świat, który powstał z wzajemnego oddziaływania na siebie tych dwóch niezniszczalnych potęg: siły i materji. Potęgi te istnieją bezwzględu na wiarę naszą, obywają się one bez świątyń i kapłanów, bez naszych ofiar, naszej skruchy, naszych cnót i win. Istniały one wówczas, gdy jeszcze nie było tego, co dziś nazywamy światem, zanim się zrodziło pojęcie dobra i zła, nagrody i kary i istnieć będą nawet wtedy, gdy z ludzkich urządzeń, etyki i wiedzy nie pozostane śladu.

Oto, jest owa „Wielka Tajemica“ którą znają hinduskie Upaniszady i znali ją niewątpliwie, chaldejscy i egipscy kapłani. Ją to właśnie „wielcy wtajemniczeni” przystosowali do pojęć tłumu w postaci boga, narzuciwszy się jednocześnie temuż tłumowi jako pośrednicy pomiędzy nim, a ową niepojętą, niedostępną dla ludzkiego poznania Siłą, jako jej wykładacze, wyraziciele i rzecznicy. A że w świecie ludzkim żadne pośrednictwo nie bywa bez interesu, (wiadomo, trzeba żyć), pośrednicy owi każą sobie płacić za to dość grube porękawiczne, składać hołdy i haracze w postaci wyzbycia się na ich rzecz logiki, rozsądku, samodzielności myślenia i działania, a niekiedy i praw politycznych. Ażeby zas dać coś wzamian owemu ogłupionemu tłumowi, który przecież płaci i pośrędnio i bezpośrednio na rzecz owej „Wielkiej Tajemnicy“,*) kłania się i całuje po rękach, rzeczeni pośrednicy stworzyli całą masę najdziwniejszych zakazów i nakazów, ceremonji, obrzędów i symbolów religijnych, aby w uczęstniczącym w nich osobom zdawało się, że w ten sposób utrzymują bezpośredni kontakt z „niewiadomem“, czyli z tak zw. bogiem. Jest to b. przykre złudzenie.

Czciły też owe „niewiadome“ posłuszne swym pośrednikom-kapłanom ludy jako bogów dobrych i złych, jako upostaciowanie sił przyrody, jako istoty nadprzyrodzone. Bywały one Ammonem, Ozyrysem, sumeryjskim Anu, jedynym bogiem, wyznawanym przez biblijnego Melchizedeka. Chaosem, Zeusem, Buddą, straszliym Trimutri brahmanów, siwobrodym Bogiem-Ojcem pierwszych chrześcijan, Allahem islamu...

I dlatego właśnie, że pojęcie tej Siły, owego „niepoznawalnego“ zostało strywializowane przez gruby antropomorfizm, a z drugiej strony uczyniono z niej istotę nadprzyrodzoną, czem nie jest i nigdy nie była, religje padały, i padać będą.

Lecz czyż mogło, czyż może być inaczej? czyż postęp umysłowości ludzkiej mógł inną potoczyć się drogą?..

Władysław Pękosław Burakowski.

List rabina do marsz. Piłsudskiego

(Nasz Przegląd 12/8. 28).

Ciesz się, o narodzie polski! Nad twym dobrobytem czuwa nieustannie nie tylko opatrzność katolicka, dająca nam od czasu do czasu za wstawiennictwem dobrodziejów rzymskich prawdziwego polskiego kardynała, ale modli się do Boga o błogosła-

---

*) Jeżeli nie wiesz, obywatelu polski, ile cię owa „Wielka Tajemnica“ kosztuje, zajrzyj do budżetu wyznań swego państwa i dodaj do tego te kwoty, które ty i twoi sąsiedzi płacą za tak zwane posługi religijne a złapiesz się z przerażenia za głowę.

Przypisek Redakcji.

wieństwo i rabin żydowski, sługa boży palestyński. Nie wypada biedakowi zwrócić się do całego narodu naszego z orędziem izraelskiem, więc, jako że jest cechą sług bożych wielka skromność, zwraca się imć pan Rozen do pierwszego obywatela Polski z podziękowaniem oraz z „wielką czcią i życzeniem, aby imię jego świeciło przed słońcem na wieki“. Amen. Dziękuje za ocalenie duszy rabinowej z rąk komunistów, że zaś wiadomo każdemu, że nie jeden człowiek, a cały nasz naród odparł bolszewików, więc dzięki Ci, o dzięki, czcigodny panie rabinie za błogosławieństwo (nieco może po 8 latach spóźnione), które spadnie w pewnej cząstce niewątpliwie i na mą skołataną głowę, niby rosa ożywcza.

Doprawdy, człowiekowi lżej się robi na duszy, gdy widzi, że są jednak we wszystkich kościołach istoty poczciwe dbające o wiekuistą szczęśliwość braci swych z innych kościołów.

A czyni się to wszystko bezinteresownie, bez ubocznej myśli, rzekłbyś, jakby z natchnienia boskiego. Wstaje ci jakiegoś poranka taki przewodnik „duchowy“: katolicki, ewangielicki lub żydowski, czuje wyraźnie potrzebę błogosławieństwa, nie wie tylko, gdzie się kończy ogonek kandydatów, to jest, kto jest na wokandzie.

Czeka więc, czeka, aż tu z pomocą boską, akurat dnia 21, miesiąca Tamuz r. 5688 (1928)—natrafia na Polskę — i... dalejże!

Błogosławieństwo na czasie, przyda się.

Lecz, rety, nie, nie!!! Wstrzymajcie się! Przypomina mi się w tej chwili nawał błogosławieństw, wysyłanych w zaświaty dosyć często na rzecz ich imperatorskich wieliczestw. Boję się, drżę na myśl o skutkach tych nabożeństw. Przestańcie przypominać nas Bogu, bo, po namyśle, ciarki mię przechodzą. Mimo odprawiane „mnogoletja“ we wszystkich językach i religjach — djabli wzięli wszystkich trzech żandarmów Europy. Były to wprawdzie błogosławieństwa urzędownie obowiązujące, nie mniej jednak z całą czcią przez duchownych odprawiane, z wzywanie imienia boskiego. Były jednak i nabożeństwa z własnego popędu. Specjalnie u żydów. Nowa bóżnica, dajmy na to przy ul. S-to Jerskiej. Wielkie święto izraelskie. Nie tylko. Wielkie zwycięstwo narodu żydowskiego. Bo oto udało się, jako że na czele komitetu stali istinno russkije jewrei, uzyskać przyrzeczenie samego oberpolicmajstra warszawskiego, iż w pierwszy piątek inauguracyjny on sam lub jewo pomoszcznik będzie obecny na nabożeństwie z bożecariachranieniem. I miło było patrzeć, jak tak straszny człowiek, sam oberpoliciejmejstier, raczył własnokonnie zajechać przed przybytek boży. Oj, inne to czasy były: i p. Bogu dobre słowo i czarujący a czystosierdięczny uśmiech władzy policiejmejstierskiej!

A jakież jednak straszne skutki miały owe wymodlone przez rabinów błogosławieństwa boskie...

Więc cofam, com na początku mówił. Chociaż miłą jest myśl o tem, że tam w niebiesiech, Wszechwiedzący jest osobiście nagabywany przez jakiegoś ojczulka duchownego o wyróż-

nienie mię pośród miljonów mych bliźnich, jednak gotów jestem zrzecz się wszystkich zdobytych tą drogą dobrodziejstw.

Chodzi mi bowiem o Polskę. Widząc, jakie skutki miały tylorazowe modlitwy o zdrowie carów i kajzerów, błagam was, o duchowni, przestańcie modlić się o dobrobyt Polski. Niepokoi mię ta pamięć wasza o Polsce. To się źle musi skończyć. Pan Bóg nie lubi zapewne tylu pacierzy różnojęzycznych i zemścić się może na niewinnej ziemi naszej.

Proponuję Wam, o duszpasterze, zwrócić się z modlitwą na rzecz teraźniejszej Rosji. Razem z duchowieństwem prawosławnem, które uznało już władzę bolszewicką, jako pochodzącą od boga.

Polskę zostawcie w spokoju.

J. Dawiński.

Głos dzieci: ratujcie!



Oto z jaką „miłością“ odnoszą się „duszpasterze“ obojga płci do naszych dzieci

Pomoc wzajemna wolnomyślicieli.

Ruch wolnomyślicielski przybiera we wszystkich krajach ogromne rozmiary. Tam, gdzie socjaliści biorą czynny udział w walce z klerem, rozmach jest tem większy i podkład pracy trwalszy i głębszy. Związki te starają się wypełniać braki organizacyjne, jakie odczuwa się wszędzie tam, gdzie praca jest jednostkowa lub niedostatecznie skoordynowana.

W Niemczech przy stowarzyszeniach zwolenników kremacji, tworzą się własne domy oświatowe, służące do propagandy wolnomyślicielstwa. Powstają kluby oświatowe dla dorosłych. Podobnie jak w organizacji socjalistycznej — są wybierani mężowie zaufania, pracujący na rzecz wolnomyślicielstwa na terenie fabryk, związków zawodowych i oświatowych. Są wydawane zapomogi pieniężne członkom bezrobotnym.

Jak wiadomo, jako warunek przyjmowania w poczet związków wolnomyślicielskich, obowiązuje zerwanie z kościołem. Mimo to, a zapewne dlatego to związki w Niemczech,

Austrji i Czechach liczą miljony członków — wszystko urzędowo bezwyznianowych.

Z tego też powodu, pragnąc ochronić dzieci od wpływu kleru w szkołach, związki wpływają na swych członków, aby ci meldowali swe dzieci, jako urzędownie bezwyznaniowe.

Z drugiej strony, pragnąć zapewnić dzieciom odpowiednią opiekę moralną, powstają specjalne „Domy dla dzieci bezwyznaniowych".

Jednym z ostatnich jest Dom w Brnie Czeskiem. Sam tytuł wyjaśnia cel domu, Tym sposobem rodzice bezwyznaniowi mają pewność, że związki wolnomyślicielskie obejmą stopniowo całkowitą opiekę nad dzieckiem i wyrwą je raz na zawsze ze szponów kleru.

Podług brzmienia statutu Polskiego Związku Myśli Wolnej, mamy prawo zakładania ognisk dla dzieci i młodzieży, urządzania burs, otwierania szkół i t. p. i do urzeczywistnienia tych zadań stale też dążyć będziemy. Musimy jednak liczyć na własną tylko pomoc, bowiem ludzie duchowo nam obcy pomagać nam nigdy nie będą.

Zapoczątkowaliśmy chwilowo zbieranie funduszów na stypendja oraz doraźną pomoc dla uczniów bezwyznaniowych. Ofiary wpływają skąpo, bo też nasi przyjaciele nie należą do możnych tego świata.

Nasze „książeczki oszczędnościowe" dla dzieci bezwyznaniowców są też dla rodziców dowodem, iż i o najmłodszych nie zapominamy.

Jest to nasz odruch pomocy wzajemnej oraz myśl, aby chłopiec lub dziewczynka byli z nami związani na dłuższą metę — do czasu, póki pewność wszelkich praw osób bezwyznaniowych będzie bardziej, niż obecnie zagwarantowana.

D. Jabłoński

Kronika.

Muzeum ateistyczne

Oczywiście nie u nas, a w Moskwie. Muzeum to, w którem, jak donosi „Głos Ewangelicki" № 32, zgromadzono b. starannie liczny materjał, cieszy się ogromnem powodzeniem zwiedzających. Zestawione są bożyszcza wszystkich czasów, aż do... Mussoliniego włącznie. Wątpić należy, czy postawiono tam także posąg Lenina — boć i on jest przedmiotem bałwochwalstwa. Dla zachwiania uczuć religijnych prostaczków muzeum takie doskonale się nadaje, zwłaszcza, że umieszczono tam narzędzia tortur inkwizycyjnych, grozę budzące „obrazy, utensylja, służące do wyczyniania cudów" etc.

„U nas inaczej, inaczej, inaczej..."

Oszuści.

Kto? któżby, jak nie nasz kler rzymsko-katolicki, którego chciwość stała się przysłowiowa („księże oczy, wilcze gardło...") Oto dowiadujemy się z № 33 „Wyzwolenia“, że Skarb Państwa rok rocznie wypłaca biskupom 150 tysięcy zł. na koszt opłaty pocztowej od urzędowej korespondencji kościelnej, lecz poczta pieniędzy tych nie ogląda, gdyż toną w przepaścistych kieszeniach „sług bożych“ Dzieje się to w ten sposób: w swoim czasie Ministerstwo Poczt i Telegr. wydało rozporządzenie, że korespondencji zarządów parafialnych przysługuje prawo bezpłatnego przewozu i doręczania, na równi z korespondencją urzędową państw. czy samorządową. Gdy później, na zasadzie konkordatu, Państwo zobowiązane zostało do wypłacenia tych kwot biskupom, Ministerstwo Poczt i Telegrafów przez przeoczenie nie cofnęło tego przywileju zarządom parafialnym. Oczywiście, księżom w to graj. Pieniądze do kieszeni, a na listy stempelek: „Opłata ryczałtowa na zasadzie i t. d.“ I to na jakie listy! O składkę na kościół, na ołtarz, na „Bractwo dobrej śmierci“ i t. Wszystko sprawy urzędowe!

Czy pobieranie ze Skarbu Państwa 150 tysięcy zł. na portorja przy równoczesnem korzystaniu z bezpłatnej przesyłki nie jest, powiedzmy delikatnie nieuczciwością? I nadużycie to przepełniają nasi „100% patrjoci“, — kler wyznania rzymsko-katolickiego.

Zupełnie słusznie zwrócił uwagę Ministra Poczt i Telegrafów na to nadużycie poseł dr. Putek, domagając się w liście swym z dnia 18 lipca b. r. po pierwsze: cofnięcia klerowi prawa do korzystania z opłaty ryczałtowej, gdyż na portorja pobiera 150 tysięcy zł. rocznie, po drugie: wyegzekwowania od biskupów pobranych bezprawnie 150 tysięcy złotych za lata: 1925, 26, 27 i 1928, gdyż w tym czasie korespondencja kleru przewożona była bezpłatnie, po trzecie: pociągnięcia do odpowiedzialności winnych nadużywania poczty do celów kwestarskich, jako spraw „urzędowych“

Jakkolwiek można powątpiewać, czy Ministerstwo Poczt i Telegrafów będzie chciało i czy zdoła wydrzeć biskupom skradzione pieniądze skarbowe, to jednak akcji posła dr. Putka musimy przyklasnąć i całkowicie się z nią solidaryzować.

Jeszcze jeden.

W № 31 frysztackiej „Gazety kresowej“ czytamy, że w Trnavie (Czechosł.) aresztowano księdza Wanaka, podejrzanego o „manipulacje w kasie oszczędności“. Choć „królestwo boże nie z tego jest świata“, to jednak sługi boże nie gardzą, jak widzimy, nie tylko pieniędzmi skarbowemi, ale nawet wyciągają łapy po ciężko uciułane grosze wiernych

t. b.

Z naszej korespondencji.

Przytaczamy poniżej korespondencję Polskiego Związku Myśli Wolnej z Ministerstwem Poczt i Telegrafów oraz odpowiedź Dyrekcji w Lublinie. — Do treści listów tych nic nie

mamy do dodania, oprócz zaznaczenia, iż wolnomyśliciele, w razie napotkania w życiu podobnych utrudnień i szykan, winni nie puszczać ich płazem, lecz je zwalczać. W ten tylko sposób mogą być ukrócone nadużycia kleru i jego pachołków. —

Redakcja.

Warszawa, d. 18 czerwca 1928 r.

Ministerstwo Poczt i Telegrafów

w miejscu

Członek naszego Związku, ob. M. G. w Puławach komunikuje nam rzecz nieprawdopodobną, a jednak niestety prawdziwą.

W dniu 7 maja r. b. wysłał ob. G. list polecony Z RECEPISEM ZWROTNYM pod adresem.

Zarządu Parafji w Włostowicach pod Puławami.

Nie otrzymując z poczty zwrotnego poświadczenia odbioru listu, zwrócił się ob. G. PO MIESIĄCU, to jest w dniu 8. 6., do odnośnego urzędnika pocztowego z reklamacją, który przyjął nadawcę następującemi słowy: „Dobrze, że pan przyszedł, mam już oto pana pokwitowanie i odpowiedź księdza“ mówiąc to skreśla podpis odbiorcy czerwonym ołówkiem. Na żądanie skreślenia gumką, wzgl. starcia własnowolnego przekreślenia podpisu odbiorcy, ów urzędnik zrobił jakiś zygzak — być może skrót jego podpisu.

Z powyższego wnosimy, że:

1) urzędnik pocztowy przechowuje u siebie w kieszeni w ciągu 4 tygodni pokwitowanie pocztowe i nie kieruje go do adresata,

2) urzędnik ten porozumiewa się z księdzem, któremu nie na rękę było odebrać ów list polecony,

3) pracownik ten odbiera od księdza list celem prywatnego wręczenia go ob. G. w urzędzie pocztowym, gdy ob. G. zwraca się do urzędnika z reklamacją.

Recepis zwrotny jest zainteresowanemu potrzebny celem przedstawienia go Starostwu w Puławach, jako dokument w pewnej sprawie akt stanu cywilnego. Być może, że wobec zakreślenia podpisu Starostwo będzie mu czyniło trudności, względnie nie będzie chciało uznać podobnego dokumentu.

Wiemy doskonale, iż z powodu podobnego postępku ob. G. posiada dostateczny tytuł wystąpienia przeciwko urzędnikowi na drogę karną, jako nadużycie swego urzędu, jednak z polecenia ob. G. zwracamy się do Misterstwa z prośbą o wysłanie swemu urzędnikowi surowej admonicji — aby niesłychany ów postępek więcej się nie powtórzył.

Odnośny „recepis“ załączamy — z prośbą o rychły zwrot oraz o NIEWYSYŁANIE go w oryginale do Puław (celem ewent. stwierdzeni

prawdy słów powyższych), bowiem nie mamy pewności, czy ów urzędnik, pozwoliwszy sobie na skreślanie podpisów, nie posunąłby się do zniszczenia samego dokumentu.

Z poważaniem

Koło Warszawskie Polskiego Związku Myśli Wolnej

Dyrekcja Poczt i Telegrafów w Lublinie, Nr. 49564/V. Lublin, dnia 18. VII. 1928 r.

Do Polskiego Związku Myśli Wolnej Koło Warszawskie

Warszawa

ul. Królewska 16.

W odpowiedzi na pismo z 18 czerwca br. № 97/28 skierowane do Ministerstwa Poczt i Telegrafów w Warszawie zawiadamia się po przeprowadzeniu dochodzeń, że list polecony za recepisem zwrotnym, wysłany dnia 7 maja b. r. przez G. do Zarządu Parafji Włostowice pod Puławami został wydany dnia 12 maja br. upoważnionemu do odbioru Stanisławowi Wasilewskiemu. Zwłoka wydania nadawcy recepisu zwrotnego oraz skreślenie na nim podpisu odbiorcy powstały z winy funkcjonarjuszy urzędu pocztowego Puławy, za co zostali oni odpowiednio ukarani.

Za Prezesa:

Inż. Kaniowski.
p. o. Naczelnika Wydziału.

Z KSIĄŻEK

Karol Darwin. O pochodzeniu człowieka. Przekład M. Ileckiego, Warszawa, Bibljoteka Dzieł Naukowych. 1928 r. str. 268, Cena 3 zł.

Jest to tylko pierwsza część epokowej pracy wielkiego przyrodnika i naturalisty angielskiego, którego odkrycia i teorje (rozwoju doboru naturalnego, dobru płciowego, walki o byt) w dziedzinie nauk biologicznych (dotyczących żywych organizmów), dadzą się porównać tylko z odkryciami Kopernika, Keplera, Galileusza, Newtona w dziedzinie astronomji oraz z odkryciami Bethelota, małżonków Curie, Maxwella, Thomsona (lorda Kelwina) i Rutheforda w dziedzinie budowy materji.

Ponieważ pierwsze polskie wydanie pracy Karola Darwina „O pochodzeuiu człowieka" (Lwów 1884) zostało wyczerpane co najmniej przed czterdziestu laty, dobrze się stało, że choć tę pierwszą, zasadniczą, część jego dzieła o pochodzeniu człowieka udostępniono polskiemu czytelnikowi. Składa się ona z następujących siedmiu rozdziałów: I Dowody pochodzenia człowieka od niższej formy ustrojowej, II. i III. Władze umysłowe człowieka i takież władze zwierząt niższych, IV. Porównanie władz umysłowych człowieka z władzani umysłowemi zwierząt niższych. V. O rozwoju intelektualnych i moralnych władz człowieka, VI. Genealogja człowieka i jego pokrewieństwo, VII. O rasach ludzkich. Opuszczone części druga i trzecia poświęcone są doborowi płciowemu wogóle i doborowi płciowemu w odniesieniu do człowieka.

Czytelnik, który dotąd nie znał podstawowego dzieła Karola Darwina (1809 — 1882), pt. „O powstawaniu gatunków" powinien przed przy-

stąpieniem do czytania książki, „O pochodzeniu człowieka“ zapoznać się z niem chociażby pobieżnie. Zadanie to mu znakomicie ułatwią „Wypisy z zakresu teorji ewolucji“ dokonane przez Kazimierza Czerwińskiego (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927, cena 4 zł.) W wypisach tych prof. Czerwiński przedrukował prócz wyciągu z dzieł Lamarcka i Wallace'a cały rozdział IV z dzieła „O powstawaniu gatunków“, który rzecby można — zawiera jądro teorji Darwina

Dawno już przebrzmiały ataki na wielkiego uczonego angielskiego i jego zwolenników za poruszenie z posad dawnego poglądu na naturę, opartego na biblji, na tej kuli wiszącej nietylko u nóg wiedzy. Ataki te co do siły oburzenia możnaby porównać tylko z atakami na teorję Kopernika, który w swojem dziele „O obrotach ciał niebieskich“ wstrzymał słońce, a poruszył ziemię. Zarówno dzieło polskiego uczonego, jak i darwinowska teorja ewolucji,—teorja doboru naturalnego, doboru płciowego i teorja dziedziczenia cech nabytych, — były to przysłowiowe kije w mrowisku, usypanem na próchniejącym pniu religijnego poglądu na świat. Jak w swoim czasie zwolennicy X rozdziału Ksiąg Jozuego rzucili się z furją na teorję Kopernika, tak w drugiej połowie ubiegłego stulecia zwolennicy pierwszej księgi mojżeszowej i niezmienności gatunków napadli na teorje Darwina. Nauka jednak wytrzymała ten atak. Skapitulowała jedynie strona atakująca, która widząc bezczelność swoich napaści wobec oczywistości dowodów, przytaczanych przez naukę, w jednym i w drugim wypadku poszła na kompromis i starała się „uzgodnić“ swój punkt widzenia z wynikami badań naukowych, na co nauka znów bądź wcale nie odpowiadała, bądź odpowiadała jedynie pogardliwem wzruszeniem ramion. Na dowód, jak trupi jad biblji może długo czynić spustoszenia w mózgach ludzkich nie od rzeczy będzie przypomnieć tu uchwałę z r. 1926 jednego ze stanów Ameryki Północnej przeciwko teorji Darwina. Ale to są już tylko sporadyczne drgawki i ośle kopnięcia międzynarodowego obskurantyzmu, który w ten sposób jest jedynie w stanie odpowiadać na argumenty nauki. A argumentów tych, choćby w książce „O pochodzeniu człowieka“, jest olbrzymie mnóstwo. Obskurantyzm zaś, jak każda bezmyślność, ani nie bada, ani nie wie. W najlepszym razie zdobywa się tylko na obelgi i na krzyk, który przecież żadnej dowodowej wartości nie przedstawia. Albo też poprostu zakasuje chlamidy i zmyka z placu dyskusji co sił w nogach, jak ów rozmówca Sokratesa z djalogu Platona. Podobnie jak Kopernik i Darwin doskonale zdawał sobie sprawę z reakcji, jaka jego odkrycie wywołała w tłumach dewotek i podobnych im umysłowo obskurantów. W omawianej przez nas książce mówi on na stronie 24: „logiczne rozumowanie musi doprowadzić do postawienia wniosku wspólnego ich (kręgowców i człowieka) pochodzenia, inaczej bowiem trzebaby było zadecydować, że budowa naszego organizmu zarówno, jak i wszystkich zwierząt została nskuteczniona umyślnie w taki sposób, aby wprowadzić w błąd. Na poparcie tego wniosku znajdujemy fakty, ogólnie znane, które znajdujemy tak w zoologji, jak w zoogeografji, jak wreszcie w geologji. J e d y n i e p r z e s ą d i z a r o z u m i a ł o ś ć l u d z k a, k t ó r e w o l ą w y w o d z i ć p o c h o d z e n i e c z ł o w i e k a r a c z e j o d p ó ł b o g ó w, m o g ą p o s t a w i ć j a k i e ś z a r z u t y p o w y ż s z e m u r o z u m o w a n i u. J e d n a k ż e n i e z a d ł u g o j u ż n a s t a n ą c z a s y, k i e d y w i e ś ć o t e m, ż e p r z y r o d n i c y, z n a j ą c b u d o w ę c i a ł a i r o z w ó j c z ł o w i e k a o r a z i n n y c h z w i e r z ą t s s ą c y c h, m o g l i n i e g d y ś w i e r z y ć w t o, ż e k a ż d y z t y c h o r g a n i z m ó w p o w s t a ł d r o g ą o d r ę b n e g o a k t u s t w o r z e n i a, b ę d z i e w y w o ł y w a ć z d u m i e n i e i p o d z i w“.

Mówiąc o dziedziczeniu cech nabytych, Darwin wymienia między innemi, jako dowód Hiszpanję, która niegdyś za Maurów, przodowała cywilizacji, dzisiaj pozostała daleko w tyle za innemi ludami europejskiemi. Przyczyna tego zjawiska jest dla Darwina jasna. „Inkwizycja“, tępiąc przez trzysta z górą lat, najśmielsze i najzdolniejsze jednostki, stanowiące najpostępowszą i najszlachetniejszą rasę, bo rasę, która wątpiła, a bez wątpienia niema postępu, — wyjałowiła kulturę tego kraju do tego stopnia, że jest ona dziś pośmiewiskiem całego świata.

Pod względem przekonań religijnych Darwin, jak sam oświadcza, był agnostykiem, t. zn. uważał, że religja głosi rzeczy niedowiedzione, ani niedające się dowieść nie wyłączając wszystkich „osób“ trójcy św.*) Pewnemu studentowi niemieckiemu, który się zwrócił do Darwina w sprawie jego poglądu na religję, autor „Zmienności zwierząt i roślin“ odpowiedział otwarcie: „Nauka nie ma nic wspólnego z Chrystusem, wyjąwszy, iż badania naukowe czynią człowieka ostrożnym w uznawaniu dowodów. Co się tyczy mnie samego, to nie sądzę, aby kiedykolwiek miało miejsce objawienie“. W innem znów miejscu powiada: „Nieprawdopodobne jest, aby człowiek ze zdrowemi zmysłami mógł wierzyć w cuda, na których opiera się chrześcijanizm. Im więcej poznajemy niewzruszone prawa natury, tem wszelkie cuda wydają się nam nieprawdopodobniejszemi. Mogą w nie jedynie wierzyć ludzie łatwowierni i pogrążeni w wielkiej ciemnocie. Z drugiej znów strony nikt dotąd jeszcze nie dowiódł, że ewangelje, w których o tych wszystkich cudach czytamy, były napisane jednocześnie z temi cudami. Przytem ewangelje te różnią się pomiędzy sobą w wielu b. ważnych punktach—jaskrawiej nawet, niżby się różniły relacje naocznych świadków. Rozmyślając o tem wszystkiem, doszedłem do tego, iż przestałem wierzyć w chrześcijaństwo, jako objawienie boskie, a potem przestałem wierzyć zupełnie“ O nauce celowości wyznawanej przez zwolenników osobowego boga, a więc i biblijnego aktu stworzenia „z niczego“, Darwin tak powiada: „Dowody nauki celowości w naturze, które niegdyś wydawały mi się tak stanowczemi, nie mają dziś dla mnie najmniejszego znaczenia. Po wykryciu prawa doboru naturalnego nie możemy np. dłużej twierdzić, że zadziwiająco piękny zamek muszli dwuskorupowej utworzony został przez inteligentną istotę (to niby przez biblijnego boga, przypisek nasz), jak zawiasy drzwi przez człowieka. W zmienności istot organicznych, oraz w sposobie działania doboru naturalnego nie można większej upatrywać celowości, aniżeli w kierunku działania wiatrów“. Mimo to różne niekiedy nawet inteligentne matołki utrzymują nadal, że nauka i religja wcale się z sobą nie różnią.

Język przekładu p. Ileckiego poprawny. Natomiast korekta książki niedbała. *H. W.*

---

*) Agnostycyzm — jestto pogląd, uznający niemożność uzasadnienia istnienia boga. Przyp. redakcji.

Z ostatniej chwili.

W chwili oddawania niniejszego numeru do druku, otrzymaliśmy od jednego z naszych przyjaciół radosną nowinę: oto dorastający jego syn otrzymał **świecką** metrykę urodzenia, oraz świadectwo dojrzałości (maturę) z rubryką „bezwyznaniowiec“. Pierwsze lody są więc przełamane!

PRENUMERATA
„WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO“ wraz z "ŻYCIEM WOLNEM“
WYNOSI: Rocznie — zł. 10.80, Półrocznie — 5.40, Kwartalnie — 2.70
Zagranicą 2 dolary (z przesyłką) rocznie.

Nr. niniejszy „Wolnomyśliciela Polskiego“ . . . zł. 0.60

Adres Redakcji i Administracji: Królewska 16, tel. 118-14. Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska.** — Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“**

Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Pańska 4.